ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Marca 1892. **Nr. 6.**

,,ŚWIATŁO" wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa ,,Katolika" w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

V.

W komnacie Zamku Krakowskiego, na złoconem krześle, siedziała lat średnich pani, wzrostu, jak na niewiastę, wyniosłego dość, twarzy przeciągłej, oczu czarnych, cery zżółkłej, ni piękna, ni brzydka, ni młoda, ni stara, z wyrazem gniewnej dumy na czole i w wejrzeniu. Strojna była w powłoczyste szaty jedwabne, bogate, tak jak się ubierają niewiasty, które o wdzięku swym nie myślą albo oń nie dbają, lub go nie rozumieją, bo wiedzą, że mają go czem zastąpić.

Była to księżna Agnieszka.

Naprzeciw niej, na ławie okrytej, z rękami założonemi siedział mąż jej książe Władysław. Osobliwy miał w tej chwili wyraz twarzy, która się często zmieniała, znękany, zastygły. Oczy zwracał to na małżonkę, to na ziemię, to niby szukał niemi czegoś po ścianach, znaleźć nie mogąc. Zapatrywał się pilnie w gwóźdź błyszczący u krzesła księżnej, w ścianę, w okno, unikając spojrzenia na żonę. Dwoje ich widząc tak razem, niepotrzeba było wielkiego wróżbity, by odgadnąć kto z nich rządził a kto słuchał, kto był czynną siłą, a kto biernem narzędziem. Zahukany książę, czasem miał błyski własnej woli, ale ta rychło odparta chowała się do głębi. — I w tej chwili wytrzymywał napaść gwałtowną.

— Wahasz się jeszcze, wahasz zawsze, — wołała księżna Agnieszka, rzucając na swem siedzeniu — a czas upływa najdroższy. Trzeba poczynać a śmiało. Król ojciec twój zdał ci nad państwem zwierzchnią władzę, kędyż ona? Ty nie masz żadnej. Tyś sam, jeden, ich czterech, niech popodrastają, wzmogą się, obalą cię i wygnają.

— To nie może się stać! — rzekł Władysław — nie może nigdy.

— To się stanie, jeśli się ich nie pozbędziesz zawczasu, — wołała księżna. — Nie chcę cię znać, nie chcę się zwać twoją żoną, jeśli nie masz panem być, a na łasce panów braci siedzieć udziałowem książątkiem. Poszłam tu sądząc, że królować będę, nie słuchać! Wstyd mi! srom mi!

Książę milczał trochę.

— Stanie się po twej woli, — rzekł — gotuję się! Nie mogę sam wystąpić, czekać muszę.

Spojrzał ku niej jakby litości błagając. Agnieszka powstała z krzesła, stanęła na podnóżku, wyciągnęła rękę do męża i poczęła głosem gniewnym:

— Gnuśnik jesteś! do niczego! kądziel ci prząść nie berło trzymać. Gdyby nie ja, siedziałbyś bezczynny w kożuchu, lub krył się po lasach, nie myśląc o sobie, ażby cię bracia wygnali.

— Bracia! bracia! — powtórzył książę obojętnie.

— Tak, ty ich masz za braci, — rozśmiała się Agnieszka, — a oni ciebie nie mają za brata. Po ojcu bracia, nie po matce! Co za braterstwo? Takich samych braci dziadowie twoi sadzali do ciemnic i wyganiali precz. Co znaczy państwo pokrajane na kawały, żywe nie jest, trup to jak i ty.

— Chcąc to uczynić, do czego mnie naglisz, — odezwał się Władysław spokojnie — mimo woli ojca mego, potrzeba czasu.

— Mimo woli ojca? — podchwyciła Agnieszka. — Ojciec chciał ażebyś panował; nie mógł ci powiedzieć, idź i wyżeń ich, ale ci dał stolicę i prawo pierworodztwa, któregoś sam użyć powinien, jeżeli mężem jesteś!

— Użyjemy tego prawa! użyjemy! zaprawdę — odparł Władysław głowę spuszczając — trzeba czasu tylko, czasu. Nie w porę poczęta sprawa w niwecz pójdzie.

— Nie w porę! pora dawno minęła! — zakrzyknęła księżna. — Dnia, godziny niema do stracenia.

Książę nieznacznie drgnął ramionami, rozstawił szeroko dłonie, i milcząc, potrzymawszy je tak chwilę, zacisnął rozpaczliwie.

Agnieszka widząc tę obojętność, już się na krześle utrzymać nie mogła, skoczyła z podnóżka, zaczęła chodzić, suknię powłócząc za sobą, miotając rękami, rzucając rękawy.

— A! — zawołała z goryczą — zaprawdę mi wstyd, żem ja, Cesarska siostra, szła za ciebie, coś się na parobka rodził, nie na króla.

Książę głową tylko poruszył, z piersi coś mu się jak jęk wyrwało.

— Ja tego upokorzenia nie strzymam — ciągnęła dalej — ja porzucę cię, ja tak żyć nie mogę. Ażali ty oczów nie masz, że oni ze swą matką, z Palatynami, z Biskupami spikali się i spikają na ciebie? Czekaćli masz aż się, upatrzywszy chwilę, rzucą i wygnają precz? A to nastąpi... to przyjdzie! gdy my ich nie uprzedzimy. Silniejsi są niż ty i rozumniejsi niż ty... przezorniejsi niż ty.

Pod gradem tych wyrzutów książę siedział ze spuszczoną głową milczący, jak człowiek co się niema gdzie schronić przed ulewą; spoglądał czasem w okno, jakby na pomoc wzywał kogoś, stękał, rozpościerał ręce i składał, ruszał się jak do wyjścia i siedział. W ostatku dopiekło mu znać, za głowę się pochwycił.

— Dość że już! — zawołał — dość! czynię co mogę! czynię co chcesz! a jeśli to źle wyjdzie tobie i dzieciom naszym, nie ja winien będę, nie ja, Bóg mi świadek!

Agnieszka przyskoczyła doń ze śmiechem szyderskim.

— Źle nie wyjdzie, gdy mnie posłuchasz! Śmiało, z góry, nie zwłócząc uderzyć na nich potrzeba.

— Niechże nadciągnie Ruś! każdej godziny się jej spodziewam, — rzekł książe.

— Nim ona przyjdzie, ślij do nich, — przerwała Agnieszka — aby się poddawali. Gdy Ruś przyjdzie z Połowcami, uderzymy na krnąbrnych, dziś ze swemi już poczynać można i trzeba.

— I nim tamci w pomoc pospieszą, oni się zwalą na mnie! — rzekł Władysław głową potrząsając.

— Zwalą się, jeśli cię poczują wahającym i bez siły... zlękną się, gdy okażesz męztwo. Ja niewiastą jestem a nie zlękłabym się ich... ja! a ty!

Plunęła na ziemię. Wtem u drzwi kroki słyszeć się dały... księżna obró-

ciła głowę, poznała już kto szedł i lice się jej rozjaśniło.

Na próg wchodził, bez oznajmienia i pokłonu, Dobek, jako domowy, poufały sługa. Wejrzeniem zmierzył księcia i księżnę, poznając z rozognionych twarzy, co się tu odprawiało. Agnieszka wzrokiem dała mu znak jakiś niecierpliwy.

— Poselstwo przybywa — mruknął szydersko — ho! poselstwo! nielada! — Rozśmiał się cicho. — Palatyn Petrek w półtora sta ludzi, jak udzielny książę raczył nawiedzić pana naszego. Zajechał sobie do miasta na biskupstwo, i oto przysyła pytanie, ażali może czołem uderzyć!

Na wspomnienie Petrka rzuciła się księżna, książę drgnął i z siedzenia wstał, ale czekając na to, co powie małżonka. ust nieśmiał otworzyć.

— Ciekawam z czemże to przybywa? — odezwała się Agnieszka, — bo że z pustym pokłonem i podarkami nie zjechał... to pewna! Wszak to przecie opiekun książąt młodych, ich prawa ręka, nieboszczyka króla powiernik, on co z biskupy ten głupi testament układał... Bo to jego sprawa! Przyszedł podpatrywać, co się tu dzieje?

Dobek przypatrywał się z głową spuszczoną znów siedzącemu Panu, który milczał. Agnieszka się też zwróciła do niego.

— Gościa takiego od wrót odegnać się nie godzi! — zawołała — ale ja, panu memu z nim sam na sam rozmawiać nie dam! Petrek mądry zrobi z nim, co zechce! Niech przybywa, będziemy go przyjmowali oboje! Zobaczymy, co zaśpiewa!

Nogę na nogę założywszy Dobek stał czekając w progu, o ścianę się oparłszy wygodnie, jakby tu nie sługą był, ale panem. Z pod oka tylko spoglądał na księcia, wyzywając go do odpowiedzi.

Książę na chwilę poruszony znów popadł był w obojętne milczenie i zadumę.

— Na odpowiedź czekają! — odezwał się Dobek.

— Niech przybywa — zawołała księżna — dla czegóż odkładać a z poddanym się nosić, jakby on tu jakimś panem był? Toć sługa, niech się stawi.

— Niech się stawi! — zamruczał książę chłodno.

Dobek popatrzał jeszcze na pana, potem wejrzenie zamienił znaczące z Agnieszką, która pogardliwie ramionami ruszyła i wyszedł zwolna. Zaledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy i książę wstał, chcąc odejść. Wyciągnął się, w okno spojrzał i wolnym krokiem, kołując, niby od niechcenia, zamierzał do drzwi.

— Zostaniesz ze mną, tu, sama nie chcę przyjmować Petrka, a wam go też samemu widzieć nie dam.

Książę zawrócił się i usiadł pomrukując. Zamilkła małżonka i chodziła niecierpliwa, rozgorączkowana. Przez oka widzieć było można podwórze zamkowe, aż ku głównej bramie. Właśnie się z niej wychylał orszak Petrka, na którego czele jechał pułkowódzca we zbroi świecącej, z buławą żelazną w ręku, której głowa ostrzami kolczystemi nasadzaną była. Na chełmie u góry spiczastym miał pęk piór, a koń pod nim szkarłatem okryty, stąpał dzielnie. Za nim po trzech jechała drużyna, wszystka we zbrojach i kolczugach z mieczami u kolan; Chorąży ze znakiem, dworzanie, za nimi sam Petrek, którego poznać było trudno, kto go tylko doma widywał.

Ten co powszednich dni chadzał w ladajakiej siermiędze; strojny był i po książęcemu odziany. Szyszak miał na głowie złocony, płaszcz obramowany purpurą i złotem, ostrogi długie złociste, szaty spodnie przetykane ni̇́cmi złotemi, świecił cały od tego złota. Koń pod nim szedł siwy, gruby, silny, stąpając jak w tańcu, przerzucając nogami i żelazo w pysku przeżuwając niecierpliwie.

Około wnijścia dworca, w jednej chwili zrobiło się tłumno, bo kto żyw biegł patrzeć na orszak Petrka, a księżna się odezwała.

— Patrzno! patrz! ty tak nie możesz wystąpić jak ten włóczęga, co się krwią i zdradą zbogacił, — pochlebstwem ojcu

waszemu w łaski wkupił! Hultaj! umyślnie się tu tak pysznie stawi, aby nas wstydził i upokarzał! Za to jedno by głowę dać powinien!

Książe spoglądał ciekawie, ale wcale po nim znać nie było, ażeby tak bardzo brał do serca wspaniałość orszaku Palatyna, widok ten bawić się go zdawał.

— Konie, psy, sokoły ma doskonałe! to prawda! — zamruczał cicho. Agnieszka się uśmiechnęła, poszła krokiem powolnym do krzesła swojego, usiadła na niem, układając twarz i szaty, marszczyła brwi, gniewną była.

Księciu siedzącemu na ławie, wskazała obok siebie siedzenie. Dobek, jako marszałek, z laską pozłocistą w ręku, gościa do drzwi prowadził.

Petrek wszedł poważnie, zwolna, naprzód się panu nizko, do ziemi pokłonił, potem Agnieszce już nie tak pokornie.

Wybąknął kilko słów powitania, a gdy Władysław, nader uprzejmie począł go pozdrawiać, uśmiechając mu się, szepnął, że dla ważnej sprawy radby mieć posłuchanie.

Księżna to usłyszawszy, wskazała Dobkowi i komornikom, aby ustąpili precz, dwór też Petrka pokłoniwszy się odszedł do pierwszej izby. Zostali sami.

Petrek się jeszcze wahał, czy miał mówić.

— Miłościwy panie, — odezwał się do Władysława, — sprawy ziemi naszej główne, przystałoby na osobności odprawiać.

Zaledwie dokończył, gdy księżna z twarzą zaczerwienioną, podnosząc się z siedzenia, zakrzyknęła:

— A jamci co to jest? Przecie dzielę z księciem stolicę i panowanie?

— Tak, miłościwa pani — rzekł Petrek, — ano w sprawach męzkich nie ma u nas zwyczaju, aby niewiasty uczestniczyły, dopóki nam Bóg pana zdrowego i żywego chowa. Z nimby nam mówić sam na sam przystało. Gdyby, co niech niebo odwróci, odjął nam go Bóg, tak samo bym do miłości waszej, jako do pani szedł i jej słuchał.

Władysław w czasie tej mowy, twarz miał jakoś tak dziwnie ułożoną, iż poznać po nim trudno było, czy to pochwalał czy ganił. Agnieszka piorunujący wzrok rzuciła na zuchwalca i zerwawszy się z siedzenia, milcząc wybiegła z komnaty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIĘCIU ŚWIĘTYCH ZAŁOŻYCIELI ZAKONÓW.

(Z 2 obrazkami).

Pomiędzy urządzeniami Kościoła katolickiego zajmują klasztory bardzo wybitne miejsce. »Są one,« jak Businger mówi »drzewem wspaniałem, którego gałęzie cały świat ocieniają. Trzy korzenie ma to drzewo, a szukać ich należy w Jezusie Chrystusie: w Jego dobrowolnem ubóstwie, w Jego świętem posłuszeństwie i w Jego dziewiczej czystości. W majestacie tej potrójnej piękności chce Chrystus Pan żyć po wszystkie wieki na ziemi i dla tego przywięzuje szlachetne i zacne dusze do Siebie tajemniczymi węzłami i sprawia, że postanawiają żyć, jak żył Chrystus Pan w dobrowolnem ubóstwie, zupełnej pokorze, posłuszeństwie i dziewiczej czystości.«

I czegoż pragną ci, co się życiu zakonnemu poświęcają? Pragną się wyrwać i uwolnić z więzów nędznego świata, wyrzec się wszelkiego majątku doczesnego, wszelkiej ziemskiej rozkoszy, a całkiem oddać się Jezusowi i mówić, jak On mówił: »Moje Królestwo nie jest z tego świata.« Ale jak Jezus Chrystus, choć nie był z tego świata, lecz całkiem był dla tego świata i poświęcił się życiu we świecie, tak i owe wybrane dusze pragną się poświęcać dla świata częścią przez to, że w samotności przez modlitwę, ćwiczenia, pokuty ciągle Bogu

cześć oddają, którą świat powinien mu oddawać, a której tak często zaniedbuje, — częścią też przez to, że przez pracę, przez nauczanie słowem i pismem, pielęgnowanie chorych i wykonywanie rozmaitych uczynków miłosiernych ludzkości się przysługują.

Życie zakonne jest tak stare, jak Kościół chrześciański i będzie tak długo trwało, jak długo Kościół trwać będzie. Z początku przebywali ludzie, co się Bogu poświęcili, w swych rodzinach i każdy wykonywał w swem kole uczynki chrześciańskiej doskonałości. Za czasów prześladowania Chrześcian za cesarza Decyusza (około roku 250) schroniło się wielu z nich na pustynię i zamieszkali w niej jako pustelnicy. Jeżeli między nimi powstał mąż szczególnej pobożności i zdolności, skupiali się przy nim, aby się jego przykładem budować i śladem jego postępować. Około jego chaty, wznosili swoje chaty i uważali się za uczniów mistrza.

Z przykładu tych pustelników wyrosły z czasem zakony, jak je prawie wszystkie obecnie na świecie mamy. Na szczególną uwagę zasługują zakony Benedyktynów, Franciszkanów, Dominikanów, Jezuitów i Redemptorystów czyli Liguorian.

Założycielem Benedyktynów był św. Benedykt z Nursii (we Włoszech), urodzony roku 480. Kształcił się w szkołach rzymskich, ale bardzo rychło porzucił świat i udał się do Subiaco, gdzie żył jako pustelnik. Tam prowadził życie nadzwyczajnie pobożne, więc też wnet przybyli do niego mężowie, którzy życiu w samotności poświęcić się chcieli. Razem z nimi udał się św. Benedykt do Monte-Cassino, gdzie pierwszy zakon założył. Równocześnie napisał reguły dla zakonników. Umarł roku 543.

Dzieło jego jednak, zakon Benedyktynów, żyje do dziś. Ten zakon położył w ciągu swego istnienia bardzo wielkie zasługi około chrześciaństwa zwłaszcza w owych bardzo dawnych czasach, gdzie wielce burzliwie było w Europie a stósunki poszczególnych narodów dopiero się porządkowały. Usługi te oddali Benedyktyni w trojakim względzie: przez pielęgnowanie nauk, wychowywanie młodzieży i zajmowanie się kulturą ziemi. W klasztorach Benedyktyńskich przechowywano księgi mędrców pogańskich i święte księgi chrześciańskiej starożytności; w ich klasztorach wychowywali się synowie możnych mieszczan, rycerzy a nawet książąt. Benedyktyni pobudowali liczne kanały, wybili drogi, wykarczowali puszcze i zamienili je na żyzne pola, osiedlając na nich osadników, a przez to dając początek wielu wsiom i miastom. Dla tego też w wielkiem byli zawsze u wszystkich poszanowaniu. Liczba ich klasztorów dosięgnęła



Pięciu świętych założycieli zakonów.

37 tysięcy, a z liczby zakonników wyszło 50 tysięcy Świętych.

Założycielem zakonu Franciszkanów był św. Franciszek z Asyżu. Ten Święty wiódł z początku bardzo wesołe, rycerskie życie. Ale poznawszy jego marność, wyrzekł się wszystkiego, nie dbał o to, że go ojciec wydziedziczył. Jako pustelnik i pokutnik osiadł przy kościółku, podarowanym mu przez pewnego opata Benedyktyńskiego. Nazywał go cząstką swego dziedzictwa (portiuncula). Jego pobożność i gorliwość sprowadziła do niego towarzyszów, z którymi chodził po kraju, głosząc słowo Boże i zachęcając do pokuty. Przykład wielkiego ubóstwa tych Franciszkanów działał bardzo zbawiennie na ludzi. Św. Franciszek bowiem zakazał braciom, aby cośkolwiek posiadali; z jałmużny jedynie żyć mieli, a coby im z dziennej jałmużny zbyło, mieli między ubogich a chorych rozdawać. Głównym przepisem reguły tego zakonu jest zupełne ubóstwo. W roku 1223 potwierdził Papież Honoryusz ich regułę. W trzy lata potem zmarł święty założyciel. W 38 lat po jego śmierci liczył zakon już 8 tysięcy klasztorów i 200 tysięcy Braci. Podług reguły św. Franciszka założył się też zakon żeński Franciszkanek czyli Klarysek (od imienia św. Klary, która była fundatorką tego zakonu). Oprócz tego zaś utworzył się trzeci zakon św. Franciszka, Tercyarze, którzy wprawdzie we świecie żyją, ale wedle ducha reguły zakonnej i pod przełożeństwem duchownych.

Z zakonu Franciszkanów wyłonił się około roku 1526 zakon Kapucynów, założony przez Mateusza z Bassi.

Założycielem zakonu Dominikanów był św. Dominik urodzony roku 1170 w Hiszpanii. W owych czasach szerzyła się w tym kraju, w Anglii, Niemczech, Włoszech, nauka kacerska, zwana nauką Albigenzów. Św. Dominik, wykształciwszy się dobrze w wszelakich naukach chrześciańskich, wystąpił przeciw temu niedowiarstwu i zwalczał je, głosząc kazania o prawdziwej wierze w tych okolicach, gdzie się herezya szerzyła. Jego zapał i gorliwość wnet zyskały mu towarzyszów, którzy przyłączyli się do niego i działali z nim razem, modląc się i odmawiając pilnie różaniec ś. W ten sposób powstał zakon Dominikanów, który w tym samym roku, co Franciszkański, potwierdzenie Papieża uzyskał. Św. Dominik zmarł 4 Sierpnia 1221.

Zakon jego stał się potężną kolumną Kościoła św. Z niego też wyszedł wielki nauczyciel Kościoła, św. Tomasz z Akwinu. Członkowie tego zakonu właśnie otrzymywali od Papieży urząd sprawowania inkwizycyi. To należy tak rozumieć, że mieli szczególny obowiązek czuwania nad tem, aby niedowiarstwo, gdziebądź się ono pokaże, zaraz zwalczali i nieskazitelności wiary św. bronili. Tej kościelnej inkwizycyi nie trzeba uważać za tę samą, którą była królewska inkwizycya w Hiszpanii; ostatnia służyła do celów politycznych a Papieże nieraz przeciw jej działaniu występować musieli.

Jak w 12 i 13 stuleciu Kościół walczył z herezyą Albigenzów, tak w 16 przyszło mu staczać walkę z innymi heretykami, którzy zgoła w zarozumiałości twierdzili, iż wiarę Chrystusową reformować czyli naprawiać trzeba.

Do tej misyi wzbudził P. Bóg przez św. Ignacego z Loyoli zakon Jezuitów. Tenże zakon ułożony został około roku 1535 a w 5 lat potem uzyskał potwierdzenie Papieża Pawła III. Z początku było głównym jego celem: nawracanie pogan i odprawianie misyi tam, gdzie herezye powstawały i się szerzyły. Założyciel jego, św. Ignacy z Loyoli (w Hiszpanii) urodził się w roku 1491, a umarł 31 Lipca 1556. Z czasem przybrał sobie zakon jeszcze jako cel: wychowanie młodzieży. Zasługi Jezuitów są bardzo wielkie. Okolice południowe Niemiec zawdzięczają temu zakonowi, że nie utraciły prawdziwej wiary Chrystusowej. Z pomiędzy Jezuitów wyszli najwięksi Missyonarze, najuczeńsi obrońcy wiary św., wielcy nauczyciele młodzieży, doskonali kaznodzieje. Wpływ Jezuitów na lud był i jest do dziś bardzo wielki; nie potrzeba o tem wiele pisać, bo to wszystkim jest znane.

Co sprawiło, że ten zakon zdołał tak wiele dobrego zdziałać? Co Jezuitów uczyniło tak mocnymi?

Oto po pierwsze, że w zakonie Jezuitów panowało i panuje zupełne, bezwzględne posłuszeństwo. Jezuici są we wszystkiem, co grzechem nie jest, posłuszni swym przełożonym. Najposłuszniejszy Jezuita potrafi też sprawić, że wszyscy, którymi się opiekuje, których wychowuje, są mu posłuszni.

Po drugie, że Jezuici kształcą się zwolna a bardzo gruntownie na księży. Lata długie ćwiczą swój rozum we wszelakich naukach, doskonalą serce.

Po trzecie, że bardzo często odprawiają ćwiczenia duchowne czyli rekolekcye, w których przez kilka dni z rzędu odprawiają różne rozmyślania o rzeczach wiecznych, słuchają o nich nauk głębokich. Te częste ćwiczenia duchowne dodają Jezuitom siły duchowej, której nieprzyjaciele Kościoła św. tak się obawiają. Jezuici mieli zdawna bardzo wielu nieprzyjaciół i tym udało się skłonić w roku 1773 królów portugalskiego, hiszpańskiego i francuskiego, iż tak długo na Papieża Klemensa XIV nastawali, aż zakon Jezuitów skasował. Ale już w r. 1814 powołał go Papież Pius VII do życia.

Gdy się kulturkampf w Niemczech zaczął, wypędził rząd Jezuitów z kraju i do dziś wyjątkowego tego prawa nie zniósł, ani ku temu chęci nie okazuje. Dziwna to zaista rzecz, że rząd przystał na skasowanie prawa przeciw socyalistom, o których wie, że są wrogami wszelkiej wiary i państwa, a że Jezuitów, którzy są obrońcami wiary św., praw Boskich a tem samem też obrońcami chrześciańskiego porządku i królów »z Bożej łaski,« do kraju wpuścić nie chce! Lud katolicki jednak prędzej nie spocznie, aż rząd do jego gorącego życzenia się nie zastósuje i aż Jezuitów do kraju nie wpuści.

Założycielem zakonu Redemptorystów był św. Alfons Marya Liguori. Założył go w r. 1732 a Papież Benedykt XIV potwierdził go w r. 1759. Jak św. założyciel był przez długie lata opiekunem najnędzniejszych biednych, aby im duchowo i cieleśnie dopomagać, tak zakon jego nazwać można »Missyonarzami najbiedniejszych i najwięcej opuszczonych dusz.« Jakkolwiek św. Alfons w roku 1762 biskupem został, zakonu swego nie opuścił, lecz do końca życia na jego czele stał, słowem działając i księgi pisząc. Zmarł jako 91 letni starzec w roku 1787.

Zakon jego rozszerzył się w Polsce,



W celi klasztornej.

Austryi, Niemczech, Szwajcaryi, Francyi i Ameryce. W latach, w których zakon Jezuitów był zniesiony, zastępowali go niejako Redemptoryści, odprawiając missye, ucząc młodzież i starając się przez kazania i duchowne ćwiczenia o utwierdzenie wiary św. w sercach wiernych.

Z tego wszystkiego każdy się łatwo przekona, że zakony mają głównie na celu chwałę Bożą, pomaganie ludzkości biednej i opuszczonej i wychowanie młodzieży.

Kościół św. zawsze bardzo usilnie starał się o biednych i młodzież. Dla tego smutną jest rzeczą, gdy w dzisiejszych czasach usiłują Kościołowi za-

przeczyć prawa do jednych i drugiej. Co więcej, — są tacy, którzy myślą, że szkoły bez religii zdolają młodzież dobrze wychować, że przepisy policyjne wystarczą, ażeby niedoli biednych zaradzić! Nieprzyjaciele Kościoła św. wiedzą dobrze, dla czego tak mówią i czynią; chcą oni szkołę i sprawę chrześciańskiego miłosierdzia oderwać od Kościoła, ażeby módz powiedzieć: »Patrzcie, jak niepożytecznym jest Kościół św.«

Ale kiedyś, gdy się miara ich zarozumiałej ciemnoty dopełni, gdy dzieci, wychowane bez religii, na ludzi bez religii wyrosną, gdy się zatrzęsie wszelki porządek społeczny, gdy zepsucie ogarnie społeczeństwa, gdy biedni nie miłosierdzia dopraszać, ale prawa domagać się zaczną, a niedostawszy go, sami je sobie wezmą, — wtedy po tych dniach grozy, nadejdzie dzień, w którym owi »mędrce« światowi, pokornie do Kościoła św. się zwrócą i powiedzą: »Próżna była nasza praca; niech nam Chrystus Pan i Jego Kościół św. dopomódz raczy.« Wtedy też wszyscy uznają potrzebę i błogosławione działanie zakonów.*)

*) Oprócz wymienionych istnieją jeszcze inne zakony, o których może »Światło« na inny raz napisze. Dziś podajemy wiadomości o tych zakonach, których święci założyciele są na obrazku.

ŻYDZI A KREW CHRZEŚCIAŃSKA.

(Z dzieła p. t.: »Die Kirche und die Juden«, G. I. Manz, Rbg. 1892 przez ks. dr. Franka, proboszcza w Monachium i posła do sejmu.*)

Pomiędzy ludem chrześciańskim utrzymuje się zdawien dawna mniemanie, jakoby żydzi przy obchodzie swej wielkanocy, a mianowicie do przyprawiania placków, zwanych macami, krwi chrześciańskiej potrzebowali i używali. W tym celu, tak głoszą, chwytają od czasu do czasu chłopców lub dziewczęta, a czasem i starsze osoby chrześciańskie, i zamordowawszy je w okropny sposób, wysączają z nich krew i skrzętnie zachowują.

Pewien rabin, dr. Horowitz z Frankfurtu nad Menem, powiedział o tej sprawie w Maju 1891 r. wykład, w którym zaprzeczywszy, jakoby żydzi krwi chrześciańskiej do obrządków religijnych używali, starał się wyświecić, kiedy wieść pierwsza o tem się pojawiła? Nie mógł jednak wykryć początku tego mniemania i przypuszcza, że dopiero na początku 12-go stulecia lud chrześciański wieść tę opowiadać sobie zaczął. Trudno powiedzieć, czy tak istotnie było, czy inaczej.

*) Uważamy, że pożyteczną będzie rzeczą, gdy do wyświecenia tej sprawy, która od czasu do czasu na wierzch wypływa i umysły ludzi zajmuje, nieco objaśnienia podamy.

Jak wieść ta powstała, o tem myślę tak: Opowiadają, że już w r. 411 żydzi pijani w Chalcis (mieście greckiem) w czasie swoich świąt wielkanocnych dziecko chrześciańskie powiesili. W dalszych czasach zapewnie się też podobne morderstwa zdarzały, ale dowodów na to nie ma. Dopiero z pierwszej połowy 12-go stulecia słyszymy znowu o takich mordach.

W roku 1144 rozeszła się wieść po Anglii, że żydzi przed swoją wielkanocą, pewnego chłopca, Wilhelma z Norwich, schwytali i okrutnie zamordowali. W r. 1171 zarzucono żydom w francuskiem mieście Blois, że chłopca chrześciańskiego przed wielkanocą ze świata zgładzili. Za karę skazano kilku żydów na spalenie. W r. 1179 mieli żydzi chłopca Ryszarda z Pontoise w Paryżu ukrzyżować. Dworzanie króla francuskiego Filipa Augusta opowiadali mu, że już za panowania jego ojca żydzi co rok jednego chłopca chrześciańskiego zabijali.

W r. 1255 zwabili żydzi 9-letniego chłopca Hugona z Linkoln (w Anglii) do domu głównego rabina Joppinusa, wsadzili go do komórki, męcząc przez



Legenda o dzbanku ze łzami. (Zobacz artykuł na str. 92.)

26 dni. Codzień przychodzili żydzi znęcać się nad nim, a wreszcie pożgali go śpilkami na całem ciele i przebili mu dzidą serce. Zbrodnia ta wykryła się jednak niebawem a rabin Joppinus zeznał, jak chłopca męczono. Nie powiedział jednak, aby krew z niego wysączono. On i 18 żydów ponieśli za to śmierć straszną, bo kazano ich końmi rozedrzeć.

W r. 1287 przybył Werner, 14-letni młodzieniec do miasta Oberwesel nad Renem i zgodził się za parobka do pewnego żyda. Tego Wernera też żydzi zamordowali. Ponieważ zaś przed 16 laty w pewnem mieście okolicznem żydzi 7-letnie dziewczę zabili, przeto lud powstał przeciw nim i zaczęło się prześladowanie żydów, podczas którego wielu z nich śmierć poniosło.

W r. 1472 zamordowali żydzi w Trydencie chłopca Szymona, a krew jego przechowywali w butelce. Spotkała ich za to kara. (O tym Szymonie czytać można w Żywotach Świętych na dniu 29 Marca.)

W r. 1480 zamordowali żydzi w mieście Portubuffaleto, w rzeczypospolitej Weneckiej, chłopca 7-letniego Sebastyana Novello, pochodzącego z miasta Bergamo. Sąd skazał morderców na spalenie, co się też stało.

W r. 1485 dnia 5 Kwietnia został w ten sam sposób zamordowany chłopiec, imieniem Wawrzyniec w mieście Marostika, prowincyi Wicenca.

Podobne morderstwa, jak w Trydencie i innych miastach włoskich, miały się w miastach niemieckich Fuldzie, Spirze, Dortmundzie, Ambergu, Dütsch (pod Koblencyą), Alzcey i w Badenii w 13-tym wieku wydarzyć. W r. 1486 zamordowali żydzi w Ratyzbonie 6 chłopców chrześciańskich. W r. 1540 zamordowali żydzi w mieście Heitingen na wielkanoc chłopca 4-letniego, Michała. W r. 1579 popełniono takie same morderstwo na Litwie na chłopcu, imieniem Sinnai i dziewczęciu, imieniem Elżbieta. W r. 1650 zamordowali żydzi 4-letniego chłopca Macieja w miejscowości Cadawa (w Czechach). Cesarz Ferdynand III kazał mu pomnik wystawić.

Z 19-go stulecia zaś wiemy o następujących mordach:

W r. 1831 schwytali żydzi dziecko pewnego żołnierza i zamordowali je, krew zeń wytoczywszy. Prokurator i 5 sędziów byli tego zdania, że wina żydów dowodami stwierdzoną została. Jeden sędzia tylko mniemał, iż dowód nie zupełnie się udał, ale oświadczył, iż z procesu okazało się, jako między żydami mogą się znaleść zagorzalcy, zdolni do morderstwa dla religijnych celów. Mimo to obwinionych żydów uwolniono.

W Damaszku (w Syryi) mieszkał ks. Tomasz, który też na lekarskich naukach się znał i ludziom, jak mógł, dopomagał. 5 Lutego 1840 r. widzieli go ludzie, jak ze swoim służącym szedł do części miasta, w której sami żydzi mieszkali. Nazajutrz miał być na obiedzie u pewnego lekarza. Gdy nie przybył, posłano po niego do klasztoru, ale i tam go nie było. Konsul francuski zajął się tą sprawą, a śledztwo wykazało, że żydzi ks. Tomasza zamordowali. Także i służącego jego zamordowali, ażeby się zbrodnia nie wykryła. Aresztowano 7 żydowskich kupców, którzy się przyznali do winy i powiedzieli, iż główny rabin kilka dni przedtem im polecił, ażeby się na zbliżające święta o chrześciańską krew postarali. Całe miasto było przekonane o winie zbrodniarzy, ale żydzi z Europy tak długo rząd turecki »przekonywali,« aż tenże obwinionych żydów uwolnił.

Z najnowszych czasów znane są trzy morderstwa, o których mówią, że je żydzi dla religijnych celów popełnili.

W r. 1881 mieli żydzi w Tisra Eszlar na Węgrzech zabić dziewczę chrześciańskie, Esterę Solymossi. Długi proces toczył się w tej sprawie a oskarzonych żydów uwolniono od winy. Lecz wielu ludzi potrząsa do dziś głową nad tym wyrokiem.

W roku 1891 wybuchło powstanie Chrześcian przeciw żydom na wyspie Korfu z tego powodu, ponieważ czterech żydów zamordowało 8-letnie dziewczę chrześciańskie. Sąd stwierdził, że dzie-

wczęciu przerznięto szyję, a oprócz tego 20 innych ran zadano. W ciele nie było też ani kropli krwi. Rabin z wyspy Korfu oświadczył wprawdzie, że zamordowana nie była chrześcianką, lecz żydówką. Chrześcianie jednak zaprzeczają temu, twierdząc, że to była córka chrześciańskich rodziców, Marya Dessylla z Janiny, ale wychowywała się w żydowskiej rodzinie krawca Sardy. Rząd grecki bardzo opieszale tą sprawą się zajął a wreszcie sąd żydów uwolnił.

Jeszcze się ta sprawa nie uciszyła, gdy znów z miasta Xanten, nad Renem doszła wiadomość, jako tamże 5-letniego chłopca chrześciańskiego 29-go Czerwca 1891 r. zamordowano a podejrzenie na rzezaka żydowskiego, Buszofa, padło. O tem morderstwie mówiono już też w sejmie pruskim, a codzienne gazety wiele szczegołów o niem podawały. Minister pruski przyrzekł, że sąd tę sprawę jak najlepiej zbada. Chwilowo przeto nie można o niej nic stanowczego powiedzieć.

Wiedząc o tem wszystkiem, co powyżej powiedziano, a co przez sąd stwierdzone zostało, nie można się wcale dziwić, zkąd się wzięło mniemanie ludu chrześciańskiego, że żydzi rozmaitymi czasy chrześciańskie dzieci mordowali, aby z nich krew wytoczyć.

To twierdzenie opiera się na aktach sądowych; z nich przekonać się można, że powyżej przytoczone morderstwa zwykle około żydowskich świąt wielkanocnych się zdarzyły; że wielu z oskarzonych żydów do zbrodni się przyznało; że znaleziono też naczynie z krwią chrześciańską w ukryciu, o którem niektórzy oskarzeni żydzi sądowi powiedzieli.

Mimo to nie można twierdzić, jakoby te morderstwa przez religią żydowską były nakazane. Podług mojego przekonania nie da się wcale z ksiąg żydowskich udowodnić, że podobny przepis istnieje, żeby to miało być zwyczajem albo zgoła prawidłem religijnem wszystkich żydów. Gdy w r. 1881 Esterę Solymossi zamordowano, wtedy cztery akademie i 18 chrześciańskich uczonych, między innymi obecny Książę-biskup wrocławski, ks. dr. Kopp, stwierdzili, że w księgach żydowskich przepisu takiego nie ma.

Ponieważ jednak, jak powyżej, z historycznych danych przekonać się można, morderstwa takie żydzi popełniali; ponieważ stwierdzono sądownie, że krew z zamordowanych wytaczali i przechowywali, przeto nie można inaczej o tem sądzić, jak, że aczkolwiek w księgach żydowskich przepisu względem tych mordów nie ma, to przecie trafiali się po wszystkie czasy zagorzali żydzi, którzy morderstwa te popełniali i to nie dla zysku, dla zemsty lub podobnych przyczyn. Czy je popełnili z religijnych pobudek, czy z nienawiści do chrześcian, trudno powiedzieć.

Z tego wszystkiego jednak uznaję, że za te morderstwa nie można zwalać winy na cały naród żydowski, tylko na owych pojedyńczych zbrodniarzy.

Do jednego jednak ma prawo społeczeństwo chrześciańskie, a mianowicie, ażeby rządy i sądy z tą samą gorliwością i sprawiedliwością, co zbrodnie pojedyńczych chrześcian wykryć się starają i sądzą, także i te żydowskie mordy wykrywały i sądziły. Przy sądzeniu różnych z pomiędzy tych morderstw, znać było po sędziach, że prawie jakby obrońcami, a nie sędziami być chcieli. Takie postępowanie sędziów musi się przyczynić do zachwiania wiary i ufności w sprawiedliwą bezstronność sędziów i zmniejszyć znaczenie i powagę sądu. Im jaśniej sąd każdą taką sprawę wyświeci, tem lepiej, przedewszystkiem także i dla żydów!

NIE WRÓCI.

Z tęsknotą na licach
I ze łzą w źrenicach,
Sierotka w błękitów przestworze

Spogląda nieboga
Z chateczki od proga,
I wzdycha serdecznie: »o Boże!«

»I czemuż, dziecino,
Z ócz łezki ci głyną,
Co ciebie, kochanie, tak smuci?«
A na to sierota:
»Ma żałość, tęsknota
Za mamą, dopóki nie wróci...

Już wszystko na świecie,
Wiosenka i kwiecie
I ciepłe promienie słoneczka,
Powraca do ludzi,
I radość w nich budzi,
A moja powróci mateczka?«

»O! biedna sieroto,
Ty pytasz mię o to?
Odpowiem — lecz serce twe zranię:
Choć tęsknie spozierasz,
Z ócz łezki ocierasz —
Nie wróci mateczka, kochanie!«

Franciszek Marzec.

LEGENDA O DZBANKU ZE ŁZAMI.*)

(Z obrazkiem.)

Na świat noc się spuściła, cicha, uroczysta i ukołysała do snu i ludzi i zwierzęta i ptastwo i robaczki i wszystko, co na ziemi i w powietrzu żyjącego było. I wietrzyk zda się zaklęła swą ciszą, bo ani szmeru jego usłyszeć, ani powiewu poczuć nie można. A na straży tej ogromnej ciszy postawiła na niebie księżyc i każe mu patrzeć na wsze okolice, ażali wszędzie cisza i spokój...

Błogosławiona nocy, jakaś ty miłosierna, że do snu kołyszesz wszystkie te biedne, co za dnia mozolą się i męczą, — że im dajesz spokój, ducha i serce i ciało krzepiący...

Ale patrzaj, patrzaj! Drogą odewsi ku laskowi płynie jakaś postać; białe jej szaty, włosy rozwiane, na ramiona opadły, ręce załamane, jakby do modlitwy lub rozpaczy. Zajrzyj jej, strażniku nocy, srebrny księżycu w twarz, zajrzyj w oczy, a przez oczy do serca, ażali to serce nie ma spokoju nawet w tę chwilę, gdy cały świat dyszy spokojem?...

Przebóg! Od białych jej szat bielsze oblicze, a oczy pełne łez, które srebrzy światło księżycowe; co chwila para srebrnych kropel stoczy się po licach na szaty. A ktoby głębiej do tych łzawych zajrzał ócz, a umiał podług nich sądzić uczucia serca, tenby zaiste powiedział, że te łzy są tak serdeczne a srogiej boleści tak pełne, jakoby to nie łzy, ale kawałki serca były, co się w łzy zamieniwszy, folgę dają bolesnemu uczuciu...

Nocy, spokojna nocy! Czyliż tylko ta jedna biedna nie znalazła łaski u ciebie? Czy ją jedynie spokojem nie obdarzysz, serca jej nie ukołyszesz?...

Kto ona?... To matka!

Darmo cisza na ziemi, darmo cisza na niebie. Dla matczynego zbolałego serca ciszy nie ma, a niema jej od czasu, jak jedyne jej dziecko, pieszczotkę złotą, źrenicę oka, matczyne kochanie, śmierć nielitościwa zabrała... Nie ma ciszy za dnia, gdy wszystko jest w ruchu, nie ma ciszy w nocy, gdy wszędzie jest cisza, nie ma ciszy, nigdy, nigdy, ach nigdy!...

»Dziecino moja, serce mego serca, gdzieżeś, ach gdzieżeś? Dziecino moja, rozkoszy moja, gdzieżeś, ach gdzieżeś? Powiedz, żeś za morzem, — przebrodzę morze; powiedz, żeś w ziemi głębiach, — pójdę na głębiny; powiedz, żeś wśród dzikich stworzeń, — pójdę na ich kły i wściekłość; powiedz, żeś na gór szczytach, nieba sięgających — popełznę przez skały i przepaści! Dziecko moje, gdzieżeś?«

Napróżno woła matka...

*) Prosimy pamiętać, że w niniejszej legendzie opisana jest rozpacz matki-poganki po stracie dziecka. Matka chrześciańska nie podda się w podobnym razie takiej rozpaczy, bo w wierze św. znajdzie lekarstwo na ukojenie swojego żalu.

Powiedzieli jej ludzie, że o północy prowadzi Duch biały, pomarłe dzieciny po niwach i lasach i polach, wszędzie, kędy żywe będąc, przebywały; wszędzie, zkąd jakie wspomnienie do dziecięcego przylgnąć mogło serca...

»A więc je ujrzę, ujrzę niezawodnie — woła matka. Tam w lasku, w dolinie, gdzie moje dziecko tak często igrało, gdym ja pole uprawiała. Tam, gdzie ja często siadałam na trawie i stawszy się jako dziecko, dziecinne igraszki jego dzieliłam, tam je ujrzę, tam«...

I matka bieży i płacze, nie wiedząc na smutek, czyli radość dąży...

Pod rosochatym dębem, na skraju lasu, gdzie z dawnych lat szczątki sztucznie urządzonego źródła pozostały, stanęła. Tuż zaraz rościela się rozkoszna łączka. Tam, tam właśnie w latowe dni bawiło się jej dziecię i ona. Z tem miejscem najmilsze łączą się wspomnienia i jeżeli dziecko przyjdzie, tego miejsca nie minie.

Matka czeka!...

Pytajcie ptaszyny, gdy ją orzeł unosi jeszcze żywą w wysokości, jak ona za ratunkiem dyszy? Pytajcie kwiatka, co słońca potrzebując, drzy czyli promień ciepły spadnie nań z życiem, czyli nie? Pytajcie człowieka, co w przepaść się zsunął, jak on ku górze spogląda, ażali ręka czyja ku ocaleniu się ukaże...

Pytajcie a pojmiecie, że stokroć więcej trwoży się serce matczyne, czy ujrzy swe dziecię, czyli go nie ujrzy!

Północ!...

Jakoweś szmery powstają po lesie, wietrzyk to niby, niby drzew rozhowor. A może to duchy dzieci tak szemrzą, zbliżając się lekko, ziemi nie tykając?

Płyną, płyną!... Na przedzie Duch opiekuńczy biały, jako przewodnik. Za nimi gromadka dziecinek w białych szatach; wszystkie lekkie, niby cienie...

Coraz bliżej nadpływają, srebrne księżycowem światłem, lekkie, jak mgła. Matka patrzy a zda się, że wszystkie siły ciała i ducha, wszystka moc życiowa, która w niej jest, napłynęła do oczu i że już w niej całej żadnej mocy nie ma, jedno ta we wzroku, w oczach...



Widok ulicy w Kairze. (Zob. obj. rycin na str. 96.)

Płyną obok niej, jakby jej nie widziały, zwolna, milcząco. Ale wszystkie one obce, nieznane, obojętne oku i sercu matki. Już się kończy pochód...

Po za innemi na samym końcu, po-

śpiesza dziecina z dzbankiem snać ciężkim, bo mocuje się i za drugiemi podążyć nie może.

»Dziecię moje! Jedyne moje!«.... woła matka. Poznaje swoje dziecko i już jest przy niem i już bierze w ramiona i już do serca tuli, jakby je przykuć do siebie chciała.

»Ach! — szepce dziecko — jaki rozkoszny jest uścisk matki! Ach, jak mi ciepło i miło przy sercu matki! O matuchno moja!«

Cisza w lesie, cisza w sercu matki, cisza radosna, która mówić nie pozwala, by słowo ciszy nie zmąciło...

A w tem się ozwie dziecina:

»Czas już na mnie, matuchno! Patrzajcie, jak mnie już towarzysze odbieżeli! Muszę spieszyć za nimi, a tak mi ciężko, tak ciężko! Oto ten dzbanek nosić muszę ciągle, a w dzbanku wszystkie łzy, które wy matusiu, płacząc po mnie, wylewacie. Ulżyjcie mi matuchno, nie płaczcie. Ja już do was nigdy przenigdy wrócić nie mogę. Chcecie mi ulżyć, — to nie płaczcie już po mnie, nie płaczcie, bo łzy wam nic nie pomogą, a mnie bardzo w dzbanku zaciążą. Bądźcie zdrowi, matuchno moja, bądźcie zdrowi, — a nie płaczcie, matusiu!«...

I z lekka z ramion matczynych się wysuwa i spieszy za gromadką, spieszy, mocując się z dzbankiem...

Matka stoi nieruchoma, jak skamieniała. Śledzi oczami dziecinę i razem z nią czuje ciężkość dzbanka ze łzami i lituje się nad ciężkością dziecka...

Zniknęła gromadka, jakby się za mgłę schroniła, jakby się roztopiła w srebrnem księżyca świetle...

Matka wraca smutna z załamanemi rękami, blada, ale w oczach jej łez nie ma. Na twarzy czuje jakieś drganie, w sercu boleść wielką, jakoby się w niem coś zrywało i zapadało, ale nie płacze! Przez miłość ku swej dziecinie, ażeby jej ulżyć, zasychają w matce łzy.

»Niech moje dziecko na matkę się nie skarzy, niech się nie skarzy. Niech wie, że matczynego serca najwyższą boleść zwalczy miłość ku dziecku, zwalczy pragnienie, ażeby i tam mojej dziecinie lekko i dobrze było.«

I już matka odtąd nie płacze!...

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

W tem doszedł uszu Józefa hałas; porwał się i chwycił ręką za drabinkę. Po chwili zobaczył Fergussona, wracającego śpiesznym krokiem, a za nim dzikich, odgrażających się.

— Co się stało? — zapytał, gdy Fergusson stanął przy nim.

— Dalej na drabinę i w górę czemprędzej — szepnął Fergusson — bo niebezpieczeństwo nam grozi.

W minutę potem już obaj siedzieli w balonie.

— Co się stało? — zapytał pan Ryszard.

— Patrzcie tam, a zrozumiecie! — odrzekł Fergusson, wskazując na niebo.

Spojrzeli i spostrzegli księżyc.

— Aha, — zawołał Józef — dzicy poznali się, żeśmy nie księżycowe dzieci, bo jeżeli tam na niebiosach jest księżyc, to nie może go być tutaj.

Dzicy podnieśli teraz wielki okrzyk i skierowali łuki ku balonowi.

— Nie zdołamy kotwicy odczepić, — rzekł Józef — czy przeciąć linę, która ją trzyma?

— Czekaj!... — rozkazał Fergusson.

Ów czarodziej, który przedtem miał mowę do podróżników, skinął teraz na dzikich, aby nie strzelali, a wdrapawszy się na drzewo, przy którem kotwica balonu była przymocowana, począł ją luzować. Fergusson pilne dawał baczenie na wszystko, a gdy kotwica już była

odczepiona, podsycił gaz; balon się porwał i uniósł kotwicę, a nadto i owego czarodzieja. Jeden hak kotwicy pochwycił go za nogę a czarodziej, widząc, co się święci, uczepił się liny i uleciał z balonem w powietrze.

Józef bardzo się z tego cieszył i wołał:

— A widzisz bratku! Na cóż ci się ciekawość przydała. Ale co my z tym murzynem zrobimy?

— Gdy odlecimy daleko od wioski, — odrzekł Fergusson — to spuszczę balon, aby biedaczysko mógł zeskoczyć bez złamania sobie karku.

I tak się też stało. Gdy balon zniżył się na jakie 20 stóp od ziemi, murzyn się puścił i ledwie poczuł grunt pod nogami, zaczął uciekać.

— Patrzcie, jak zmyka — zawołał Józef — jakby mu kto za to płacił!

Balon płynął znów spokojnie. Wieczór się robił na świecie a z wieczornym zmrokiem roztaczało się wielkie gorąco w powietrzu. Z każdą chwilą stawało się parniej; podróżnicy z trudnością tylko oddychać mogli.

— Będzie burza! — rzekł sucho Fergusson.

— Burza? — z przestrachem zawołał Ryszard. — Cóż my biedni poczniemy? Spuśćmy się ku ziemi!

— Toby nie miało celu — odpowiedział Fergusszon, — bo najprzód nie zdążymy przybyć na ziemię, zanim burza z wiatrem się zacznie, a powtóre na ziemi grozi balonowi napełnionemu gazem niebezpieczeństwo od piorunów. W górę musimy się wznieść, coprędzej w górę, ażeby stanąć ponad chmurami.

To powiedziawszy podsycił gaz i balon zaczął się podnosić. Ale niestety za późno już było. W tej chwili błysło, u tuż zaraz odezwał się straszliwy huk grzmotu. Ryszard i Józef potoczyli się i zdawało im się, że balon już rozszarpany a iż ów huk grzmotu, co się tuż nad ich głowami przewala, porwie ich z sobą i zmiażdży.

— Odwagi! — zawołał Fergusson blady wprawdzie, ale niezmięszany. Ciężko nam będzie, ale ufajmy Bożej Opatrzności. Bóg jedynie może nas uratować z tego morza płomieni.

Burze w tych okolicach rozwijają się nadzwyczajnie szybko. Wkrótce też zaczęło się błyskać i grzmieć raz za razem, a wreszcie stał się jeden grzmot, jeden płomień z całego powietrza, w którem się znajdowali. Wiatr wył i rył się w balon, tworząc w nim zagłębienia; zdawało się, że lada moment balon pęknąć musi. Balon kręcił się w kółko; podróżnicy trzymać się musieli łódki, aby nie upaść. Ryszard już prawie nie żył ze strachu, Józef leżał na pół w łódce i z uwielbieniem patrzał na swego pana, który stał spokojny, z ręką na aparacie gazowym, a z okiem, patrzącem to na barometr, to na chmury.

Balon przerzynał się przez chmury ogniste, przez płomienie błyskawic, wśród okropnego huku grzmotu, miotany wiatrem, ale leciał w górę....

Naraz podróżnicy poczuli łagodniejsze powietrze; błyskawice nie pokazywały się tak często, grzmot słabł...

— Bogu dzięki! — zawołał Fergusson. — Jesteśmy uratowani. Przerznęliśmy się szczęśliwie przez ogniste morze i obecnie znajdujemy się ponad burzą, ponad chmurami. Barometr wskazuje 12 tysięcy stóp wysokości.

— Ach, to było okropnie! — jęknął Ryszard.

— Ależ panie Ryszardzie, — zawołał Józef wesoło, — podróż bez urozmaicenia, bez przeszkód, jest nudna.

— Bądź cicho — odparł Ryszard, — a dziękuj Bogu, że już koniec tego urozmaicenia.

IV.

Gdy rano słońce zaszło, podróżnicy ucieszyli się z prześlicznej pogody, jaka teraz nastała. Niebo było jasne, wietrzyk wiał łagodny, a od ziemi podnosiły się pary wonne z traw i drzew rozmaitych. Józef wychylił się z łodzi balonowej i rozkoszował się pięknym widokiem przyrody.

Fergusson tymczasem sterował balonem tak, iż tenże spuścił się niżej.

— Musimy myśleć o tem — odezwał się do towarzyszy — ażeby się gdzie na ziemię spuścić po żywność i po wodę.

Ale do południa nie zdołali tego uczynić; wiatr sprzeciwiał się temu, a nadto kraj był pusty i skalisty.

Krótko po południu jednak wygląd ziemi zaczął się stawać innym i niedługo płynęli nad ziemię, bujną i śliczną trawą porosłą. Z balonu można było sądzić, że to zwykła murawa; w istocie były to trawy olbrzymie, prawie do 8 stóp wysokości mające.

Fergusson zniżył balon i kazał wyrzucić kotwicę na linie w nadzieji, że może wnet okazya się zdarzy, aby ją można o co uczepić. Balon leciał tedy nad trawami, jako ogromny motyl a kotwica płynęła w trawie, ścieląc w niej brózdy. Ponieważ jak daleko okiem sięgnąć, tylko trawy a trawy widzieć było można, przeto podróżni doznawali złudzenia, jakby po morzu żeglowali. Trawy pchane wiatrem, falowały zwolna i kołysały się prawie, jak fale morskie. Podróż była przyjemna a Józef, który zawsze o sobie mówił, że ma poetyczną żyłkę, rzekł:

— Choć ani wody, ani zwierza nie widać, którebyśmy zabić na pożywienie mogli, przecie pięknie lecimy. Serce też dla siebie pragnie pożywienia, a ta ładna jazda, podoba się memu sercu.

Ledwie te słowa wymówił, gdy naraz balon się zatrząsł, a Józef ledwie nie upadł.

— Co to? — zawołał.

— Widać, że kotwica się o coś zaczepiła — odrzekł Ryszard.

W tej chwili usłyszeli przeraźliwy ryk.

— Co to? — wrzasnął Józef.

— Balon idzie naprzód — zauważył Ryszard — podczas gdy przed chwilą stanął. Zapewnie kotwica się zerwała?

— Nie, wisi — odrzekł Józef, — bo widzę, że sznur naprężony.

— Więc co się tam w dole dzieje?

Fergusson nic nie mówił, a tylko pilnie patrzał ku ziemi, w trawy, aż wreszcie zawołał: Słoń!

Ryszard porwał się zaraz do karabinu, ale Fergusson go powstrzymał. Potem wszyscy trzej poczęli patrzeć ku ziemi.

Słoń też niezadługo wybiegł z wysokich traw na polankę i teraz go było można dokładnie widzieć. Był ogromny, a dwa jego kły, były przynajmniej po 8 stóp długie. Kotwica zahaczyła się właśnie między tymi kłami. Józefowi podobała się bardzo taka jazda.

— Wiwat! — wołał. — Nie patrzę na konia, gdy w słonia jechać mogę. To się nazywa: odbywać podróż z przygodami. Wio, siwy, wio, a ostro!

Słoń pędził galopem a co chwila wywijał trąbą na prawo lub lewo. Ile razy się tak odmachnął, tyle razy balon się wstrząsnął mocno. Fergusson stał z siekierą przy linie, aby ją przeciąć, gdyby się coś nieprzewidzianego zdarzyć miało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Kair, Kairo, (el Kahira), stolica Egiptu i największe miasto w Afryce, leży po prawej stronie Nilu i ma około 315,000 m. Składa się z trzech części: Nowego Kairu, Starego Kairu i Bulaku. Kair jest miastem pięknie zbudowanem, ma 400 meczetów (świątyń tureckich), 30 chrześciańskich kościołów i kaplic, 10 synagog, 36 placów publicznych, kilkaset publicznych cystern (źródeł) i t. d. W cytadeli Kairu mieści się nowy i wspaniały pałac chediwego. Handel Kairu jest dosyć ożywiony, bazary i magazyny tutejsze są składem towarów wysyłanych do Nubii, Sudanu i Arabii. Wiele tu jest zakładów naukowych, z których najważniejszym jest wyższa szkoła medyczna. Od 1857 kolej żelazna prowadzi z Kairu do Suezu. — Kair założony został w 640 r. po Chr., a pomimo wielu klęsk wojennych i pożarów, jakie go nawiedzały, doszedł do znacznego znaczenia.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Zaproszenie do przedpłaty!

Szan. naszych Abonentów bardzo uprzejmie prosimy, ażeby „Swiatłu" pozostali wierni i zapisali je sobie na II-gi kwartał. Przedpłatę czas już odnowić. Prosimy też o polecanie „Światła" pomiędzy znajomymi.

O pisowni polskiej.

Każdy, co gazety i książki czyta, spostrzegł już niezawodnie, że nie wszyscy piszą równą pisownią. N. p. jedni piszą Francya, inni Francyja, a inni Francja itd. Godność naszego języka wymagała, ażebyśmy wszyscy Polacy równej pisowni się trzymali. Ktoż jednak miał prawo powiedzieć: „tak piszcie, a tak nie piszcie", — gdy każdemu się zdawało, że tak, jak on pisze, jest najlepiej? Pojedyńczy uczony, choćby i sławny był, nie miałby jednak takiej powagi, ażeby jego przepisów wszyscy się trzymali. Dla tego akademia krakowska wzięła tę sprawę pod opiekę i po długich a gruntownych naradach, wydała prawidła pisowni polskiej. Z tych prawideł podajemy, co następuje:

I. Pisownia samogłosek.

1. **é** zaniechać zupełnie a pisać wszędzie **e**, np.: Andrzej, dobrodziej, kolej, mleko, ser, ulewa, sierota, siekiera, mniej: zachować jednak **é** w wydaniach poetów, gdzie tego wymaga rym.
2. **i** nie **ji**: ich, twoi, kolei, stoimy.

II. Pisownia spółgłosek.

1. Przyimek **z** (cum, ex) pisze się zawsze przez **z**, z tobą, z kieszeni.
2. **z**, **wz**, **wez** piszą się:
 a) przed słabemi spółgłoskami przez **z**: zbawić, zgoda, zdjąć, zzuć, zmiąć, znieść, wzbić się, wezbrać... i wyjątkowo przed **s**, **sz**, **ś**: zsypać, zszyć, zsinieć;
 b) przed mocnemi **s**: skrócić, spiąć, wspak, westchnąć i wyjątkowo przed **c**, **ć**, **cz**: scedzić, sczesać;
 (**s** przed **ć** przechodzi na **ś**: ściec, ścierka.)
3. Wyrazy z przyrostkami **-ski**, **-sko**, **-skość**, **-stwo**, pisać należy zawsze przez **s**; wyrazy z przyrostkami **-ki**, **-ko**, **-ka**, **-kość**, których osnowa kończy się na **z**, pisać przez **z**, a więc: boski, praski, francuski, męskość, zwycięstwo itd., lecz: wązki, grząski, blizki, ślizki, nizki, Francuzka, wiązka, wązka.
4. W bezokolicznikach pisać **źć**, gdzie **z** jest w osnowie n. p. wieźć, (wiozę), gryźć (gryzę), lecz wieść (wiodę), pleść, nieść.
5. **dz** przed sufiksami **-ski**, **-stwo**, **-ka** w tematach na **d**: n. p. ludzki, dowództwo, śledztwo, wychodztwo, schadzka.
6. **z** nie **s** przed sufiksem **ca**: np. zwycięzca, znalazca.
7. Zgodnie z utartym od wieków, choć ze stanowiska umiejętnego, nieuzasadnionym zwyczajem, pisać **dz** nie **c** w bezokolicznikach od tematów na **g**: biedz, ledz, módz, zaprządz, strzedz, strzydz, przysiądz itp.
8. Z tego samego powodu zostawić **ł** w imiesłowie zaprzeszłym: starłszy, spadłszy, zjadłszy i t. p.
9. Rzeczowniki, utworzone za pomocą sufiksu **-stwo** od tematów przymiotnikowych na **-owo**, które **w** w wymawianiu już zatraciły, pisać należy bez **w**: np. ojcostwo, królestwo, Józefostwo i t. p.; utworzone zaś od innych tematów, które także mają **w**, pisać przez **-wstwo**, np. szewstwo, (szewc); prawodawstwo (prawodawca); myśliwstwo (myśliwy) i t. p.
10. **ż**: ścieżka, sprzążka (sprzączka), **żdż**: różdżka, — jak (móżdżka).

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Praktyczne rady.

— **Przeciw zająkaniu się.** Nauczyciel gimnazyalny dr. Zdrałek z Głupczyc podaje wypróbowaną metodę oduczenia dzieci od jąkania się.

Metoda polega na tem, by zaczynać każdy wyraz od u, n. p. w piosence:

»Gdy się pola zazielenią
A wiosna wszystko ożywi«

należy mówić: ugdy usię upola uzazielenią ua uwiosna uwszystko uożywi.

Po trzech miesiącach odzwyczai się dziecko od jąkania się i natenczas trzeba przestać z dodawaniem »u« przed każdym wyrazem. Dr. Zdrałek ręczy, że skutek jest pewny i trwały.

— **Praktyczne gotowanie ryżu.** Gotując ryż na samej kotlinie, bardzo łatwo się przypala; zapobiega się temu bardzo dobrze, gdy się garnek z ryżem, przyprawionym do gotowania z wodą lub rosołem i kawałkiem masła i osolony, wstawia do większego garnka z gotującą wodą tak, aby na krawędzi się oparł i nie dosięgnął do dna; w ten sposób ugotuje się równo i przez cały czas nic więcej jak ze dwa razy zamięszać go trzeba i jeżeli potrzeba cokolwiek podlać.

— **Zabezpieczenie powideł od pleśni.** Powidła należy układać bardzo szczelnie, ażeby nie było miejsc pustych, a chcąc je zabezpieczyć od pleśni, trzeba zalać garnek po wierzchu czystym miodem. Skwaśniałe powidła powtórnie się przesmarza dodawszy do nich nieco potażu, co im przywraca smak pierwotny.

— **Siła lecznicza łupin z jabłek.** Pewien lekarz angielski twierdzi, że dym z łupin od jabłek, które się tlą na rozpalonym piecu, lub węglach bardzo skutecznie działa na wszelkie dolegliwości piersiowe.

— **Wyniszczenie robactwa w kurnikach.** Wiadomo, jak często drób domowy, a zwłaszcza kury, bywa napastowany przez pasożytne owady, mianowicie pchły i wszy do tego stopnia, że opanowane przez nie ptastwo, a nadewszystko młode tracą apetyt, nastroszają pierze, opuszczają skrzydła, a nawet często zdychają. Jeśli na ciele drobiu nie wiele jeszcze się znajduje pasożytów, wówczas same kury usiłują pozbywać tych natrętnych gości kąpaniem się w piasku. Gdy to nie pomaga, należy podłogę, ściany i grzędy w kurniku skropić roztworem kwasu karbolowego (na 10 łyżek wody jedną łyżkę kwasu karbolowego), oraz użyć proszku perskiego, wcierając go w pierze nad kuprem i pod skrzydłami. Wybielenie ścian drewnianych wapnem z dodatkiem chlorku wapna lub roztworu

kwasu karbolowego posłuży do wytępienia reszty tych uprzykrzonych owadów, lubiących się gnieździć w szparach. Należy również baczenie dawać, aby gniazda zawsze były oczyszczone należycie i świeżo podesłane.

Z ogrodownictwa.

3. Ogród warzywny.

(Ciąg dalszy.)

Mocno grunt wyczerpujące warzywa i rośliny są następne: rozmaite odmiany kapusty, ogórki, melony, dynie, sałata, selery, szpinak, rzodkiewka. Do średnio grunt wyczerpujących należą: rośliny korzeniowe, jak rzepa, buraki, kartofle, cebula itp. Mało grunt wyczerpują rośliny strączkowe: groch, bób, fasola.

A. Ponieważ powodzenie w uprawie warzyw przeważnie zależy od właściwego wyrobu odpowiednich gatunków i odmian, podajemy niżej wykaz najcelniejszych i najbardziej polecenia godnych gatunków.

Odmiany kapusty znajdujące się do uprawy w ogrodach wiejskich.

K a p u s t a g ł o w i a s t a do uprawy wczesnej: biała majowa i Yorkska; do uprawy późnej: wielka twarda płaska Magdeburska (właściwa do uprawy na wielką skalę na polach); wielka Brunświcka, oraz wczesna i późna czerwona Erfurtska.

K a p u s t a s a b a u d z k a albo włoska. Wczesna: zielona niska kędzierzawa Ulmska, zielona Wiedeńska, żółta Blumenthalska; późna: niska późna Ulmska i Chou Marcelin.

K a l a f i o r y wczesne: prawdziwe Erfurtskie karłowe (nasienie wysiewa się w jesieni; rośliny które przezimowały wysadza się na grunt w Kwietniu). Wczesne cypryjskie Walcheren. Do uprawy jesiennej: wielkie późne azyatyckie.

K a l a r e p y odmiany najwcześniejsze: wczesna biała i niebieska, Wiedeńska szklanna; późne: angielska szklanna niebieska i biała, Erfurtska niebieska i biała olbrzymia.

J a r m u ż niski kędzierzawy zielony.

K a p u s t a b r u k s e l s k a niska, ulepszona.

B r u k i e w, żółta i biała.

Wczesne odmiany kapusty, jak już wyżej było powiedziano, wysiewają się w skrzyni na rozsadnik przeznaczonej i chronionej przykryciem od mrozu; późne zaś wprost na grzędzie bez przykrycia; w sześć do ośmiu tygodni po wzejściu młode roślinki nabiorą już tyle siły, że będą zdatne do przesadzenia na grunt.

Kalafiory jesienne, które się przesadzają do gruntu w Czerwcu, można zasiewać do końca Maja, ponieważ przy silnej w tej porze roku wegetacyi, sadzonki łatwo mogą przerosnąć i stać się niezdatnemi do przesadzenia.

Kalarepa zasiewa się kilkakrotnie w odstępach czasu dwu lub trzytygodniowego i przesadza się na grunt, skoro tylko flance nabiorą dosyć siły; tym sposobem można ją mieć przez całe lato, delikatną i smaczną.

W miarę późniejszego rozrostu, dają się odmianom kapusty na grzędach odstępy na 30, 50 do 60 centymetrów (12, 20 do 24 cali) dla kalarepy zaś tylko na 20 do 25 centymetrów (8 do 20 cali). Jeśli w porze przesadzania panuje stale sucha pogoda i deszczu doczekać się nie można, należy przesadzone rośliny obficie podlewać, aby się mogły przyjąć.

Nasiona odmian kapusty zachowują siłę kiełkowania przez sześć do ośmiu lat.

Nasiona (ziarnka) o g ó r k ó w (Cucumis sativus) wysiewają się na grzędach szerokich na 1,30 m. (4 stopy), we środku nieco wypukłych, aby woda deszczowa mogła z nich spływać, a słońce dobrze je ogrzewało. Po zrobieniu na środku takiej grzędy przez całą jej długość małego rowka, głębokiego na 8 do 10 centymetrów (3 do 4 cali) i napełnieniu dobrą kompostową ziemią, wysiewają się w nim ziarnka ogórków albo pojedyńczo o kilka cali odległości, albo po dwa, w odstępach na 4 cale, przykrywając je ziemią na cal lub półtora. Po wzejściu roślin i rozwinięciu się pierwszych liści, wypada je przerwać, tak aby rośliny znajdowały się jedna od drugiej w odległości mniej więcej na 25 do 30 centymetrów, (10 do 22 cali); wtedy trzeba po liście nagarnąć nieco ziemi, co bardzo sprzyja wzrostowi roślin. Podlewania ogórków, nawet podczas suchej i gorącej pory, trzeba o ile możności unikać, gdyż to im więcej szkodzi niż pomaga. W razie koniecznej potrzeby dość jest skropić lekko liście strzegąc się zraszania kwiatów.

Godne zalecenia odmiany ogórków są następujące: zielony chiński wężowy, średniej długości zielony, walcowaty ateński (piękny i bardzo plenny), krótki zielony gronowy (bardzo wczesny, wydaje delikatny i mięsisty owoc nadający się wyśmienicie do kiszenia) ruski siatkowy, również dobry do tego celu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

* **Antoni Babski.** Z początkiem stycznia b. r. umarł w Piotrkowie (w Królestwie Polskiem) Antoni Babski, który w całem swem życiu dawał niezwykłe dowody cnót i gorącej miłości Ojczyzny. Zwłoki jego złożono wprawdzie tylko w drewnianej trumnie niemalowanej, jednak za tą trumną postępowały tłumy ludności.

Cały karawan pokryto wieńcami, a duchowieństwo wzięło udział w pogrzebie, żadnego nie przyjmując wynagrodzenia.

Śp. Antoni Babski urodził się w r. 1794, w roku powstania Kościuszki. Wielkie wypadki z czasów dzieciństwa sprawiły może, iż życie jego całe, aż do zgonu, poświęcone było pracom podejmowanym dla dobra Ojczyzny. W roku 1811 wstąpił on do wojska polskiego i pod dowództwem Napoleona odbył wyprawę na Moskwę, a następnie w r. 1831, jako ochotnik przez cały czas powstania służył w pułku Krakusów sandomierskich. Jako prosty żoł-

nierz po wojnie pozostał w kraju, aby spokojnie pracować. Rok 1863 zastał go na posadzie magazyniera solnego w Ostrołęce. Na tem polu dawnej chwały gorące serce zabiło i obudziło w starcu już 70-letnim zapał i chęć poświęcenia resztek życia sprawie wolności Ojczyzny, którą tak umiłował. Jako organizator powstania i naczelnik miasta Ostrołęki, skazany na śmierć w roku 1865, skutkiem starań żony, starań, które życiem przypłaciła, uzyskał zmianę kary śmierci na 12-letnie ciężkie roboty w kopalniach. Wywieziony do Usoli koło Nerczyńska w 73 roku życia, przetrwawszy straszną niewolę, powrócił starcem 85-letnim do kraju. Pozbawiony wszelkich praw, nie posiadając nadto żadnych środków, resztę życia spędził jako robotnik, a z płacy swej skromnej, przed kilku jeszcze laty oddzielał połowę i przesyłał śp. pułkownikowi Malczewskiemu do Omska na Syberyę, kiedy ten, będąc już wolnym od lat 30, nie mógł dostać się do kraju, dla braku funduszów na tak daleką drogę. Tak przeżył ten zacny starzec 98 lat życia. W ostatnich latach po powrocie z Sybiru, otaczany powszechną czcią i szacunkiem, budził przestrach w Moskalach swą postacią poważną, ze znamieniem męczeństwa na czole, odzianą zawsze w szaty wielbłądzie, które z sobą przywiózł z Syberyi.

* **Stary Gladstone,** angielski mąż stanu, choć liczy 82 lata życia, niedawno przelazł przez wysokie sztachety żelazne. Tenże starzec, opowiadają dzienniki angielskie, przechadzając się z jednym ze swych przyjaciół w parku, doszedł do domu swego syna. Chciał wejść, lecz drzwi w sztachetach były zamknięte. Zanim przyjaciel jego mógł przeszkodzić, Gladstone zakasał płaszcz, uchwycił się rękami wierzchołka drzwi i przesadził je, zeskoczywszy na drugą stronę. Następnie otworzył je i wpuścił swego przyjaciela.

* **Jeden** z dzienników angielskich pomieszcza dla nauki swych czytelników następujących dziesięć przykazań, których przestrze-



1\. Marcinowa nakładła w kosz różnego warzywa, a w kobiałkę jaj i wziąwszy wszystko na plecy, szła na targ.



2\. Na przedmieściu spotkała ją pani szewcowa, która jaj kupić chciała. Sakiewkę z pieniędzmi w ręku trzymając, zapytała: Po czemu jaja? A w tem jej sakiewka z rąk na ziemię upadła.



3\. Marcinowa grzeczna kobieta, żywo skoczy, aby sakiewkę podnieść, nie pamiętając o tem, co na plecach niesie. Co się dalej stało, to widać na obrazku.

ganie uczyni istnienie na świecie lekarzy zupełnie niepotrzebnem. Oto owe przykazania: 1) Nigdy nie czytać na ulicy, ani w jakichkolwiek wozach, czy powozach trzęsących. 2) Nie dłubać w zębach szpilką, ani żadnem narzędziem ostrem. 3) Starać się używać pokarmu mięszanego. 4) Nigdy nie jeść i nie pić rzeczy gorących lub zimnych, jednych zaraz po drugich. 5) Nigdy nie przeładowywać żołądka. 6) Pamiętać zawsze, by podczas jakiejkolwiek roboty, czytania i pisania światło padało prosto i w dostatecznej ilości. 7) Nigdy nie pracować umysłowo lub fizycznie dłużej nad 8 godzin na dobę. 8) Pamiętać, by mieszkanie było jasne i miało dobre powietrze. 9) Nigdy nie spać mniej nad 8 godzin. 10) Nigdy nie pozostawiać umysłu w bezczynności. Dziennik ów zapewnia, że kto będzie zachowywał te dziesięć przykazań, zapomni o istnieniu na świecie lekarzy i medecyny.

ŻARTY.

W żydowskiej szkole nauczyciel objaśnia, co to jest strzelba: Wues ist das a Biks?

— A Biks ist a szain gepicte polirowane ojzerne rirke mit poroch geluden; aber nyszt mit podróżnej poroch, sondern mit ojzerne solitrowany poroch; und mit Kigel geluden; aber nyszt mit Szabes Kigel, sondern mit ojzerne und ołowiane Kigel. Dan azoj: ojben ist a kigiczek und panewke, inten ist a jazyczek. Nimmst du Mojsze, zum Beispiel, den jazyczek a setzt auf der panewke a kapiszon und ziehst an der jazyczek, so macht der kigiczek a trzask, die panewke a blask, und die szain gep'cte polirowane ojzerne rirke macht a grojse harmider brrrrr!!! (W szkole sprawia to wielkie wrażenie i powstaje jeden wielki okrzyk: Aj waj!) Und du Mojsze sztajst auf hindert szrit und kigst in diese szain gepicte ojzerne rirke — die Kigel loift, loift und kimmt zu dir a patsch, und du bist toid wie a Hind. Dues ist a Biks.

Polak jeden jechawszy na naukę do Włoch, nie był tam jeno przez lato, a na zimę przyjechał zaś do domu. Kiedy go ojciec pytał, czemu tak rychło przyjechał. powiedział: Mnie tam przez wszystko lato trawą (włoską sałatą) karmiono tak, żem się bał, żeby mi zimą siana nie dawano.

Pan: Słuchaj Franciszku brakuje mi cygar. Czy ty czasem ich nie bierzesz?

Służący: Jak pan może mnie o to posądzać! Mam jeszcze z poprzedniej służby dwa pudełka.

— Jakżeż podziałało lekarstwo na sen, które dałem pańskiej żonie?

— Okropnie!

— Jako, więc znowu nie spała?

— Przeciwnie, tak spała, że ja musiałem sam całą noc dziecko piastować.

W kasie teatralnej.

— Przepraszam pana, bilet w ostatnim rzędzie kosztuje dwie marki a pan dałeś tylko połowę.

— I słusznie, bo jestem głuchy na jedno ucho.

Ze skarbca prawd.

Mało ludzi przekłada korzystną dla wielu naganę nad szkodliwą pochwałę.

Najczęściej nie mają racyi ci, którzy ją sobie zawsze przypisują.

Zajęty.

— Czy tu mieszka p. Pakuła?

— Tu, ale teraz jest zajęty?

— A cóż robi?

— Żonę bije....

Rozwiązanie zagadek z nr. 3:

1)
```
  0 0 0 0
0 0 0 0 0 0
0 0 0 0 0 0
0 0 0 0 0 0
  0 0 0   0
0 0 0 0
```

2) Gdy się od liczby 987654321, której liczby dodane dają sumę 45, odliczy 123456789, które dodane także 45 dają, to pozostanie 864197532, które zliczywszy, też się sumę 45 dostanie. A więc 45 od 45, pozostaje 45.

3) Pająk szuka jadu, a zaś pszczoła miodu.

ZAGADKI.

I.

Czyj ogon zajęczy, gdy zajęczy ogon nie zajęczy?

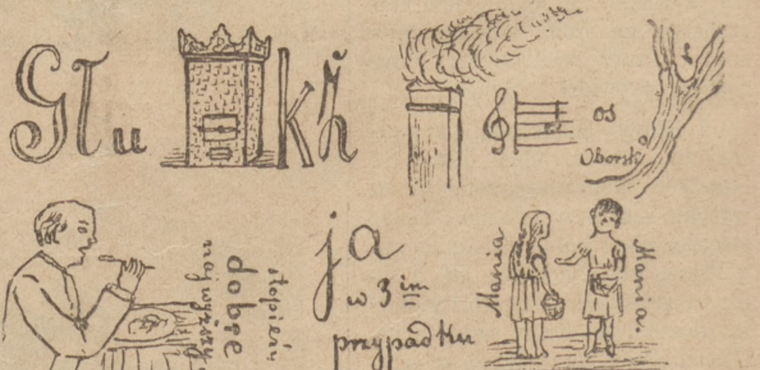
II.

Dwie matki i dwie córki poszły na targ i kupiły razem tylko trzy ryby. A jednak każda przyniosła jednę całą rybę z owych kupionych do domu. Jak to było?

III.

Pierwsze, gdy cierpi ciało lub dusza,
Jako jęk z piersi Twojej uleci.
Do odpowiedzi drugie Cię zmusza,
Trzeciem odpowie — gdy znasz — [ktoś trzeci.
Całość jak Matka tak tobie droga,
A przez samego dana ci Boga,
Im lepiej znasz ją, tem lgniesz goręcej,
Posłuchaj jeszcze, co powiem więcej:
Skoro kto bacznie imię jej czyta,
Czyli ją poznał, ona go pyta.

IV.



Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy 20 nagród i to

3 Żywot P. Jezusa brosz. (po 8 m.)
3 Wolne Chwile, brosz. (po 3,25 m.)
3 Światło, rocz. I, brosz. (po 1,50 m.)
5 Żywot św. Jana Kantego (po 1,25 m.)
2 Św. Wojciech (przez Podolankę po 1,20 m.)
2 Św. Stanisław (przez Podolankę po 1,20 m.)
2 Św. Jadwiga (przez Podolankę po 1 m.)

Rozwiązania należy przesłać **do końca Maja.**

W przyszłym numerze „Światła“ podamy na okładce „znak“ dowodzący, że „Światło“ na II-gi kwartał zaabonowane zostało. Ten „znak“ prosimy przy rozwiązaniu zagadek dołączyć. Kwitów pocztowych i innych poświadczeń przysyłać nie potrzeba.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.